
Gazeta Galowa

Marzec 2026



**Krzysztof
Galiński
1965–2026**

No i co tam? Bez zmian

Gdy się widuje tak ciężko chorego tak rzadko, to zmian praktycznie się nie widzi.

Dzięki taniosze na kolejach i niezrozumiałej gościnności Krukersonstwa odwiedziłem Gala. Na wszelki wypadek przedstawiłem się krzycząc od progu. Zażegnaliśmy tym sposobem niezręczność przypominania. („Żartujesz, popatrz, tutaj idę, tylko Gośka zasłania mnie transparentem”). Krukerson wyprostował sytuację: „Adam przyjechał pociągiem i chciał nocować w hostelu”. Krzysiek nie czuł się na siłach by gadać o niczym. Rozwinęliśmy

żagle (jak to w zatoce) i na pociąg. W pociągu dostałem iluminacji. Mówimy „Galu” słyszymy „Mać Pariadka”. Wydamy gazetę w stylu „Maci”, by opublikować dla Niego myśli. Czasu nie wystarczyło...

Rozglądnąłem się w Krakowie i zgrabna ekipa wzięła się do pracy.

Adam Boryśławski

PS

Dziękujemy Wojciechowi Jankowskiemu oraz Januszowi Waluszcze także za zdjęcia z komentarzami.



Jedna z wipowskich pielgrzymek do Machowej, do grobu Ottona Schimka, maj 1987. Galu centralnie w jasnym swetrze.

Dumki Jacoba

Poniższa opowiadka powstała, kiedy nie było już „Maci Pariadka” i publikowaliśmy niemal wyłącznie w necie.

W latach 1999–2010 paraliśmy się z Galem hipoterapią i konną jazdą, było dużo ciężkiej pracy, przygód i zabawy też. A w ogóle znamy się od 1985 roku i taki Haszek mógłby o Galu wymodlić księgę nie gorszą od Szwejka. Tymczasem w sopockim hospicjum dziesięć lat temu umierał nasz kumpel Belfer, dwa lata temu, w hospicjum gdańskim im.

ks. Dutkiewicza (!) – odrzucił Sławek. Teraz w Sopocie załaga i Galu, wczoraj ponoć wywiesił na drzwiach karteczkę, by go już nie nawiedzać, chce mieć spokój. A zaopiekowany jest, jak sam twierdzi, „niczym proboszcz na Podkarpaciu”. Zatem – szerokiej drogi, przyjacielu. Choć w każdej chwili odrzucić może każde z nas, a nawet cała ludzkość i życie na Ziemi.

Na obrazku – w odwiedzinach u jeszcze kontaktowego, ale bardzo już słabutkiego Sławka. Galu pierwszy z prawej. Serdecznie wszystkich pozdrawiamy.

Starość, choroba, śmierć



To czeka nas wszystkich, jeśli dożyjemy. Coraz słabsze, więdnące ciało, choroby, dolegliwości, płatający figle umysł. Rosnąca bezradność, uzależnienie od innych, niezręcznie kłopoty z jedzeniem, wypróżnianiem, utrzymaniem higieny. Utrata bliskich, przyjaciół, znajomych, zanikanie więzi rodzinnych, upokarzające poczucie bycia niepotrzebnym nikomu ciężarem. Cierpienie. A dalej już tylko śmierć.

Współczesna kultura nie akceptuje starości, nie chce jej widzieć. Prawdę o przemijaniu pokrywają warstwy pudrów, szminek, kremów przeciwzmarszczkowych. Reklamy coraz to „nowszych i doskonalszych” specyfików wmawiają, że oto właśnie skończyły się problemy z bólem, sercem, prostatą, hemoroidami. Bombardują nas obrazy lśniących aut, nowiutkich domów, supersprawnych sportowców, ociekających seksem ciał. Młode, uśmiechnięte twarze rozpromieniają się jeszcze bardziej na widok „mających wszystko” telefonów i niezwykle korzystnych kredytów.

Od paru lat zdarzało mi się przejeżdżać nieopodal leżącego na obrzeżach Sopotu parku. Pewnego razu Fundacja „Atlas”, „Caritas” i władze miasta rozpoczęły tam budowę hospicjum. Czas jakiś trwały prace, wyłaniał się zgrabny, piętrowy pałacyk. Wiosną 2004 roku przyjęto pierwszych pacjentów.

Dwa lata temu, zimą, przejeżdżałem tamtędy rowerem, Ciapiek biegł obok i COŚ nas zatrzymało. Ładnych parę minut, może kwadrans, stałem i przypatrywałem się temu „czemuś”. Strach? Jeśli tak, to przed czym? Trzeba sprawdzić. Podreptaliśmy do pałacyku i zapisaliśmy się na najbliższy kurs dla wolontariuszy.

Leń ze mnie okrutny, ale przynajmniej raz w tygodniu staram się do hospicjum wpadać. Paradoks i magia, jak zwykle. Myślałem, że pakuję się w miejsce przepełnione beznadzieją i cierpieniem samotnych, umierających ludzi. Tymczasem atmosferę tego Domu mogę porównać jedynie do tego, co udaje nam się tworzyć podczas Ango, corocznych medytacyjnych odosobnień. Spokój, współczucie, praca, rozmowy, uśmiechy, łzy, przeróżne życiorysy i doświadczenia, postawy ucieczkowe i akceptujące – wszystko na swoim miejscu. Spotkanie z drugim człowiekiem – zawsze znaczące, najistotniejsze z istotnych, bo – być może – ostatnie. Nie ma się dokąd spieszyć, nie ma czego zdobywać. Cichutko szemrzą najpotężniejsze, czarodziejskie zaklęcia: przepraszam, dziękuję, proszę, czy mogę w czymś pomóc?

Aż chce się żyć.

Jacob

Byłem tu

W 1983 roku, po maturze, kombinowałem, jakby tu uniknąć wojska. I wkręciłem się na dwa tygodnie obserwacji do psychiatryka, Gdańsk-Srebrzysko. Bliskie zetknięcie z „Kukułczym gniazdem” sprawiło, że zdecydowałem się na otwartą odmowę wojskowej służby, a tym samym – kryminał. Aliści na poręczy fotela, w psychiatrykowej świetlicy, wyskrobałem napis, jak to turysta: **>byłem tu, Jacob<**.

Dwa lata później, już znaliśmy się z Galem, wymyślaliśmy rozmaite dowcipy.

Jam wymyślił, że skoro spodziewamy się ubeckiej rewizji – to mus tajemnicze karteczki wszędzie porozkładać, z kombinacjami cyfr i liter. Zapomniałem – Gal wykonał. I zaiste ubecy chałtę jego nawiedzili, znaleźli kupę bibuły, tajemnicze karteczki skrzętnie pozbięrali. Dostał Gal za bibułę trzy miesiące prokuratorskiej sankcji. A potem – kolejne trzy miesiące, bo „wydział szyfrów nie nadesłał odpowiedzi”. Niefajnie Gal znosił odsiadkę, więc skorzystał z furtki psychiatrycznej. Zasiadł w srebrzyskowej świetlicy, w fotelu, patrzy – „byłem tu, Jacob”. Tak.

A ostatnio, gdy zalega w hospicjum, w którym parę lat wolontariowałem, zapytałem:

– Pamiętasz **>byłem tu<**?

– Pamiętam, psychiatryk.

Ale nie skojarzył już, że byłem i jestem i tu.

...jesteś tu razem z Ziemią i Słońcem – na zawsze, na zawsze, na zawsze...

No to jeszcze nasza pieśń ułańska:

*Jedzie szwadron wedle wioski
Dziewczęta zatkały noski
Bo ułani z konikami
Zajeżdżają im gównami
W pierdów głuchej kanonadzie
Drapujemy konie po zadzie
I kopyta im czyścimy
Strojąc przy tym tęgie miny*

Zwrotek było więcej. I pewno niejedna jeszcze powstanie.

Howgh.

Jacob





Anarchia

To miało moc. 1 maja 1985 roku mieliśmy kilka czarnych sztandarów i jazdę, by wejść w pochód rządowy. Zomole i bezpieczeństwa obstawiały teren zbiórki. Plac Zebrań Ludowych. Miałem marynarę, krawat i czerwoną szturmówkę. Na miejscu pewien dziadek mnie opluł, dosłownie:

– Co ty tu kurwa robisz?!

Nie wyrobiłem, trochę przed czasem: czerwoną flagę wglebiłem, zza pazuchy wytargałem sztandar czarny, z napisem „Solidarność”. Dziadek był wniebowzięty. Potem ruszyło: pióropusze ulotek, gęstniejący tłum, towarzysze radzieccy w swych wielkich

czapach spieprzający. I zomo, które atakowało nie tylko nas, ale i kolumnę pocziwców ze szkół zawodowych. I oto wielu uczniów zawodówek przerzuciło marynary na lewą stronę – i jęło spuszczać wpierdol zomowcom. Stąd wziął się późniejszy mit o setkach zorganizowanych anarchistów. A Galu? Jeszcześmy się nie znali, dotarł chwilę później, będąc samotnym anarchistą pośród solidaruchów. Brał udział w tej 1-majowej zadymie. I jak to Gal – własnym cielcem ostonił niesionego na noszach zomowca. Tak słyszałem.

Jacob



Galu

Poprosili mnie goście o tekst na pogrzeb Gala. Przyznam, że wygląda to dziwnie, bo Galu żyje a ludzie piszą na Facebooku (także na jego profilu), jaki to BYŁ fajny kolega, ale co tam, napiszę parę słów o nim (nie biografię a kilka drobiazgów, które mi przysły do głowy a nie wszystko z tego może jest innym znane). Chyba zostawię to nawet nieobrobione, jak mi się napisało w samolocie powrotnym z Afryki na wieść, że zima się kończy...

Gala poznałem w połowie lat osiemdziesiątych. Byliśmy anarchistami naturalnymi, nie z lektur jak on i wielu młodych. Gal drukował wówczas z gośćmi z NZS jakąś bibułę trockistowską i ogólno-opozycyjną (na sicie, co przyczyniło się do popsucia wzroku) a jednocześnie czytał klasyków anarchizmu. Po latach opowiadał o spotkaniu z nami: z jednej strony miał fajnych kumpli, z drugiej trafił na dzikusów (coś jak Słowacki na Bakunina), ale słusznych ideowo, więc miał dylemat, co wybrać.

Wybrał anarchię i stał się jednym z podstawowych ludzi w ekipie. Opisuując to po latach nazwaliśmy ich „prowadzącymi”, nie tyle od angielskiego lidera, co za parodystycznym statutem Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego: uczestnikiem Ruchu

jest każdy, kto w danej chwili coś dla Ruchu robi... Ruchem kieruje ten, kto w danej chwili coś dla Ruchu robi, inni w dobrym pójdą za nim.

Od kiedy zacząłem działalność w końcu lat siedemdziesiątych zawsze było tak, że był ktoś, kto miał swoją szajbę i ja, który umożliwiałem jej realizację przez wsparcie (od ideologii po pilnowanie kasy), czasem ktoś jeszcze (osoba, grupa a czasem całe tłumy), dlatego mówiłem, że ruch ma dwie i pół osoby. Ci ludzie się zmieniali, najpierw był to Orzeł, potem Skiba czy Jacob, później jeszcze Ed czy (do teraz) Bełt. I zawsze był obok mój brat Czarek (to zabawne, bezpieka nigdy mnie z nim nie powiązała, on figurował u nich w SOR Federacja – za Marzannę w 1988 roku – ja i paru innych w SOR Alternatywa). Manifest RSA



napisałem z Jacobem, a podpisali go także Skiba i Czarek.

Gal przeszedł do nas potem, ale to on był jednym z najdłużej działających „prowadzących”, gdy inni przelatywali jak meteory, wypadając z obiegu lub wchodząc w inny. Takim momentem było np. pojawienie się WiP, gdzie poszła część RSA, bo byli spaleni przez aresztowania czy uznali to za lepszą formułę (my – czterech facetów w łódce na środku jeziora, tzn. ja, Skiba, Bujny i Hryń czy Świńx, teraz już nie pamiętam – uznaliśmy, że formuła WiP nie ogarnia wszystkiego, np. walk ulicznych z ZOMO, tematów społecznych, jak protesty przeciw podwyżkom cen itp., więc mimo współpracy z WiP postanowiliśmy nie likwidować RSA i nie wchodzić tam jako formacja). Robiłem z Galem (etc.) WiP-owską „A cappellę” pisząc, składając i kolportując (aż po bycie adresem kontaktowym na jej kolportaż).

Zachowanie RSA szybko okazało się jednak trafne, bo już w 1988 roku po załatwieniu sprawy wojska (też nie do końca), wobec majaczenia na horyzoncie układu z komuną przy okrągłym stole WiP się w praktyce rozpadł, nie kończąc innej sztandarowej sprawy, walki z atomem i Belfer musiał Żarnowiec kończyć sam. Nie powstała też jakaś polska partia zielonych a wielu działaczy poszło w politykę a nawet do bezpieki. W tej sytuacji ci, co chcieli działać niezależnie nadal, zwrócili się znów ku anarchizmowi.

W maju 1988 napisałem z Galem manifest Międzymiastówki Anarchistycznej: siedzieliśmy na ławce na nieistniejącej ulicy Księżej w Gdańsku, on się oganiał od menela sępiącego na wódkę – proponując mu kupno czegoś do jedzenia, ale tamten nie chciał – a ja pisałem to, co w międzyczasie przechodziło nam do głowy. Już pierwszą wersję wydaliśmy z Totartem, drugą – programową – napisaliśmy razem, po trzy osoby z RSA, Totartu i pogrobowców WiP (w tej roli m.in. Gal i Wesołek). Potem na kolejnym Hyde Parku przekształciło się to w realną sieć wymiany pozytywnej przez dyskusję kilkudziesięciu osób wokół namiotu Skiby, Majora i mego, jak i wymianę adresów. Przez Gala m.in. do MA przyłączyło się wielu byłych WiP-owców, czasem całymi grupami, choć pojawiło się też wielu nowych ludzi.



Dużym wsparciem dla ruchu była kultowa „Mać Pariadka”, wydawana przez Gala i Ankę pod szyldem Man-Gali. Pamiętam do dziś ich biuro w Sopocie, gdzie całymi godzinami stukaliśmy ją na komputerze, którego tam się uczyłem, a który był jeszcze dość prymitywny (np. czcionki polskie używało się dodając przed literką ukośnik, co mi weszło w krew tak, że jak w pracy pojawił się normalny komputer długo nie mogłem się przestawić na alty, na szczęście Anka to ogarniała, a jej „głowka” długo jeszcze była podstawą składu „Maci” czy naszej lokalnej „Ulicy”, póki Bełt nie przeniósł tego w artystowski wymiar techno/secesji).

Jeśli idzie o „Mać” trzeba podkreślić, że Galu nie miał ambicji robienia „pisma naczelnego”, gdzie dwa grzyby w barszczu starczą by się rozpadło. Wręcz przeciwnie, najczęściej nie pisał sam, ale stwarzał przestrzeń dla innych. Czasem mnie to... wkurzyło to złe słowo; chodzi np. o sondy „Maci” na jakiś temat, gdzie pisałem ja, czasem inni, a Galu, którego uwielbiałem czytać, mówił, że właściwie to wyraziłem jego zdanie i on nie musi (bywały

jednak wyjątki, jak ów, który zaowocował broszurą *Czerwone i Czarne* o [nie]współpracy z lewactwem¹). Stara ekipa z FA/RSA Trójmiasto była wówczas niezwykle zgrana w swej wizji świata i działania w nim, w praktyce odpowiadaliśmy tak samo na daną kwestię bez uprzedniej konsultacji, choć pamiętam też wywiad dla „Tygodnika Mazowsze” po pogromie ZOMO 1 maja 1985, gdzie na każde pytanie padało pięć odpowiedzi, bo jak na anarchistów przystało każdy miał prawo głosu: co czytacie? Ja odpowiedziałem, że siebie, Świńx, że mnie, Skiba, że Aleksandra Dumasa – aluzja do zdystansowania się syndykalistów od Sorela – a Galu, że... Bakunina, Kropotkina etc., na co wszyscy wybuchli gromkim śmiechem, bo nikt z nas ideologiczny nie był.

Zmieniło się to nieco po pojawieniu się młodych, czasem o lewackich odchyłach, choć dało się to obejść,

¹ *Czerwone i Czarne. Swobodne wylewy anarchistyczne na temat lewicy listem otwartym Ruchu Radykalno-Postępowego sprowokowane, „Mać Pariadka”, „An Arche” 1995.*

np. przez zmianę języka; w pewnym momencie mieliśmy nawet pomysł by przekręcić skinów robiąc „Trzecią Drogę” i pisząc to samo, co w „Maci”, ale zamiast słowa „społeczeństwo” wstawiając „naród” itd., co było jednak utrudnione przez wojnę gangów z jej kulminacją 11-11-11, gdzie lewacy mimo naszych ostrzeżeń wylansowali nazioli. Niektórzy nawet nas mieli za takich, choć to Galu zainicjował Radykałną Akcję Antyfaszystowską (tego nasze matoly przeważnie jednak nie wiedziały, jak nie rozumiały różnicy między samoobroną a wojną gangów, która skutecznie spychała ruch z wymiaru [anty]politycznego na margines subkultury).

Podobnie otwartość Gala na różne opcje i autorów, np. Sierpa, powodowała, że brali nas za libertarian i fanów rynku, choć daliśmy temu odpór już w 1985 roku w „h0mku”, w polemice z liberałami z L-DP „Niepodległość”. Samo/marginalizowanie się ruchu – i społeczeństwa – zauważyliśmy już w manifestie z roku 2004 w/s neutralności prawa, nim obyczajówka nie zabetonowała sceny duopolem POPi-Su (dziś prawdziwki wyzywają na tym tle turbo-kapitalistów od „lewaków”, a pojęcia prawo-lewo straciły sens).

Sam manifest był zredagowany w dwóch postaciach, oryginał napisałem z Galem, ale ze względu na język ważny dla młodych przeredagowaliśmy go z nimi w drugiej postaci. To zresztą za czasów III RP było stałym problemem, że ludzie wychowani na idejkach z zachodu czepiali się słówek nie umiając ogarnąć treści. Pamiętam jazdy z *Płasczyną Większościową* FA etc. (napisaliśmy ją wspólnie z Galem, dzieląc między siebie tematy). Gal i ja takich problemów nie mieliśmy, stąd i tak uzyskiwaliśmy to, co istotne za cenę nieistotnej formy. Pamiętam jeden z pierwszych zjazdów w Warszawie, gdzie jadąc miejskim autobusem spisaliśmy w punktach to, co ważne, trafiliśmy na typowe spory o nic, a kiedy w końcu ustalono to i owo uchwała odpowiadała naszej notatce 1:1.

Mieliśmy i my swoje jazdy, np. Gala kręciły tematy religijne, w 1985 roku pojechaliśmy nawet do Krakowa by nawiązać kontakt z arianami (szło o to by znaleźć legalną przykrywkę dla naszej działalności, odmowy służby wojskowej etc., choć Gal pewnie i o duszy myślał, ja zaś, jako taoista i historyk,

o idejkach, co z nich jest nadal warte jeszcze). Wtedy nic z tego nie wyszło (rejestrację braci polskich przejął Hary Kriszna), choć wróciliśmy do tematu po latach tworząc lokalny zbór Unitarian i Uniwersalistów (ciągu dalszego nie było, Gal wyjechał na wieś, ja w obliczu zabetonowania sceny przez POPiS i bierności ludzi zacząłem kolejne 14-lecie na nowym silniku, po opozycji do 1990 i kontrkulturze do roku 2004 zająłem się zaległym dotąd życiem rodzinnym i formalnymi studiami, choć działałem do dziś, np. od ćwierć wieku robiąc *Jedzenie Zamiast Bomb*, którego ideę upowszechnił w Polsce właśnie Galu).

W swoim gronie po staremu robiliśmy to i owo, tak na ulicy, jak i w sieci, m.in. w paru wersjach wciąż kasowanej przez eFBecję „La Bestii”, dziś „h0mku czasów zarazy”, z banerem Gala, który lubował się w tym, czy w nazwach typu Katolicka Unia Powściągliwość i Abstynencja KUPA (na happeningu gdzie obaj robiliśmy za księży, a innym razem wynajęli ruskich muzyków by udawać Armie Zbawienia na akcjach przeciw prohibicji), Ruch Obrony Policji ROP-okop (naszą specjalnością były happenings użytkowe, włączanie się w oficjalne akcje jak *Marsz dla Europy* PO czy *Marsz dla Kapitalizmu* Kolibra z parodystycznym przesłaniem niszczącym oficjalny przekaz organizatorów), Obywatelska Liga Ekologiczna OLE itd.

Ogólnie i mi, i Galowi bliski był kabaret, także na akcjach serio, np. 1 maja 1993 ruszyliśmy na komisariat odbić naszych, ale zamiast go spać (a psy się zabarykadowały jak na wojnie) zrobiliśmy sitting i daliśmy się aresztować, po czym Galu przez naszą tubę w środku zaczął śpiewać swój rap: „Anarchizm to porządek taki, gdzie ludzie są tak wolni jak ptaki...”, skreczując przy tym na zamku od rozporka. Takich historii mógłbym opowiadać setki i może przyjdzie na to czas w lepszych okolicznościach, a póki co jest jak jest.

Na dziś (a raczej jutro) myślałem, że da się z Galem więcej pogadać na emeryturze (na wieś ciężko pojechać jak się pracuje, byłem ledwo parę razy), zły los jednak nie daje, jako pierwszego i przed czasem zabierając najmłodszego ze starej ekipy. Nie wiem zresztą czy to by coś zmieniło, czy nie byłoby jak w jednym z jego żydowskich szmoncesów, gdzie gdzie pociągami dwóch cadyków, uczniowie liczą na profuzję mądrości, a ci nic, milczą. Uczniowie pytają na miejscu:

– Rebe, czemu tak? – na co cadyk mówi:

– Ja wiem wszystko, on wie wszystko, o czym tu gadać?

Ala chociaż pobyć razem by się dało...

Janusz Jany Waluszko



Mecenas Jacek Taylor i wipowcy na Hyde Parku

SKĄD MOJE ŻÓŁTE PAPIERY?

To było bardzo dawno temu. Mieliśmy po dwadzieścia kilka lat i w sumie byliśmy jeszcze dziećmi: nie wiedzieliśmy nic o życiu, o tym, co chcemy robić w przyszłości i o co nam w ogóle chodzi. Ale zdążyliśmy już odkryć punk rock, hard core, scenę niezależną, wiedzieliśmy, co to są zine'y i czuliśmy, że nie umiemy grać, śpiewać, pisać tekstów piosenek, najlepsze co możemy zrobić, żeby brać udział w tym wszystkim, to pisać o tych piosenkach.

Wiedzieliśmy też – i to było dla nas ważne – żeby te piosenki były o czymś, a najlepiej o sprawach politycznych i społecznych. Dłubaliśmy coś swojego, zgodnie z duchem idei *do it yourself*: Filip robił „Trującą Falę”, Magda i ja – „Patię”: odbijane na ksero zine'y, w których punk rock łączył się z polityką i ekologią. Zналиśmy się z koncertów, mieszkaliśmy niedaleko od siebie, od-wiedzialiśmy się, wymienialiśmy płyta-mi i kasetami.

I wtedy odezwał się do nas Galu. Zaprosił nas do siebie, żeby pogadać. Nie wiedzieliśmy o co chodzi, ale czuliśmy, że to może być coś ciekawego i ważnego – zналиśmy oczywiście „Mać Pariadkę” i byliśmy pod wrażeniem tego pisma, które już wtedy wyprzedzało o kilka długości, pod względem treści i formy, całą resztę niezależnej prasy.

„Będziecie robić wkładkę muzyczną do «Maci», co wy na to? Będzie się nazywać «Żółte Papiery», bo będzie-my ją drukować na żółtym papierze” – powiedział po prostu, wykazując się – czego wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy – istic genialną intuicją redaktorską i,

po prostu, ludzką. Co my na to? Zgodziliśmy się bez choćby minuty wahania i zostaliśmy w tym przez kolejnych kilka długich, gęstych od wydarzeń i bardzo owocnych lat. Najpierw, rzeczywiście zajmowaliśmy się przede wszystkim wkładką muzyczną, ale bardzo szybko zaczęliśmy się zajmować także innymi rzeczami i stworzyliśmy sprawnie działający kolektyw redakcyjny, w którym nieustannie wymienialiśmy się zadaniami i obowiązkami, a większość rzeczy niezbędnych, żeby powstał kolejny numer „Maci” robiliśmy po prostu wspólnie.

Przeszliśmy w tym czasie, pod wodzą Gala i Anki, od poziomu robienia zine'a za pomocą nożyczek i ksero, do regularnie ukazującego się miesięcznika z kolorową okładką, liczące-

łączyła się z działalnością społeczną – wspólnie urządzaliśmy demonstracje, spotkania dyskusyjne i inne akcje – jak i zwykłym, prywatnym życiem: chodziliśmy razem do kina, a potem godzinami gadaliśmy o filmach, bawiliśmy się wspólnie na imprezach.

Kiedy teraz na to patrzę, widzę, że przejęliśmy od Gala mnóstwo tego, co dziś nas definiuje. To on nauczył nas, czasem posuniętej bardzo daleko, ironii, to on uczulił nas na to, żeby nie wierzyć wszystkiemu, co widzimy i słyszymy, żeby podważać przyjęte prawdy. To on pokazywał nam, jak w praktyce żyć alternatywnie – choć, jak to młodzi i gniewni, często śmialiśmy się z tego, że wiele spraw w jego życiu było, jak na nasze standardy, bardzo mieszczańskie.

„Redakcja” – mały pokój w biurowym baraku w Kamiennym Potoku w Sopocie – i mieszczące się nieopodal mieszkanie Gala i Anki, to było wtedy centrum naszego życia. Kiedy tylko kończyliśmy zajęcia na uczelni, jechaliśmy do Sopotu i najpierw godzinami siedzieliśmy przy komputerze, pracując nad kolejnym numerem, a potem, płynnie i naturalnie, przechodziliśmy na są-

siednie wzgórze i siedzieliśmy do nocy w mieszkaniu, rozmawiając o wszystkim: od „Maci”, przez politykę, do zwykłego życia. To był nasz uniwersytet. Nauczyliśmy się tam o wiele więcej niż w szkole. Najlepszy dowód? Magda nie została nauczycielką polskiego, Filip – urzędnikiem państwowym albo samorządowym, a ja – adwokatem. A do tego przygotowywała nas szkoła. Robimy dziś w życiu to, czego nauczyliśmy się wtedy, w Kamiennym Potoku, robiąc „Mać” i gadając z Galem i Anką. To w dużej mierze dzięki nim nasze życie jest dziś takie, jakie jest. I jestem absolutnie pewien, że dzięki nim jest zdecydowanie ciekawsze i nieoczywiste, niż byłoby bez nich.

Przemek Gulda



go ponad sto stron i sprzedawanego w Empiku. Dziś, po wielu latach pracy w różnych redakcjach, dobrze wiem, że to było po prostu niemożliwe – nie można robić tak profesjonalnej gazety w domu, w kilka osób, na jednym komputerze i do tego całkowicie za darmo. Po prostu nie można. I pewnie dlatego udawało nam się to z takim powodzeniem.

W punk rocku oczywiście nie ma idoli, nie ma autorytetów, nie ma mistrzów, ale – bądźmy szczerzy – byliśmy wtedy zapatrzeni w Gala i Ankę. Uczyliśmy się od nich wszystkiego: od obsługi komputera do obsługi życia. Bardzo szybko weszliśmy ze sobą w niezwykle relację, w której wspólna praca (zawsze mieliśmy przecież kolejny numer do zrobienia) bardzo płynnie

Najpierw była gazetka

Są ludzie, których poznaje się najpierw przez druk i ich teksty. Dla mnie takim człowiekiem był Gal. Nie zaczęło się od uścisku dłoni, tylko od wipowskiej „A cappelli”. Pierwszy numer – ten z Hitlerem na okładce i hasłem, że „do wojska nie chcą iść tylko tchórze i łamagi” – wpadł mi do ręki w liceum. Podrzucił mi go kolega z ławki o ksywie Dziaki. Pamiętam, że czytałem to z bardzo dużym zainteresowaniem. I forma i treść gazety bardzo mnie zaintrygowały. Zero patosu, krótko i na temat. Potem kolejne numery tej – bez przesady – najlepszej gazety WiP-u czytałem od dechy do dechy. To była publicystyka, która nie brała jeńców.

Gal był jej duchem sprawczym. Gdy w Warszawie, na roboczym spotkaniu Międzymiastówki Anarchistycznej, powiedział, że będzie wydawać nową gazetę i pytał ludzi z różnych ośrodków, kto chce pisać – wiedziałem, że to nie jest rzucanie słów na wiatr. „Mać” wystartowała i od początku było jasne, że siłą napędową jest właśnie on. Najlepsza gazeta anarchistyczna nad Wisłą – i nie piszę tego z sentymentu, tylko z przekonania. Od początku, tak jak Gal, uczestniczyłem w pracach MA, a potem FA. Od pierwszego numeru „Maci” rozprawialiśmy ją w Rzeszowie. Spotykaliśmy się z Galem głównie na protestach lub na zjazdach.

W 1992 roku wybuchła sprawa Romka Gałuszki – odmówiono mu służby zastępczej i trafił do więzienia. Jako Federacja Anarchistyczna zorganizowaliśmy tygodniową akcję prote-

stacyjną w Warszawie. Była manifestacja, okupacja, koncert. Przyjechali anarchiści z całej Polski.

Wśród nich Gal. Oprócz gazet anarchistycznych wydawał też wegetariańskiego „Beka”. Wtedy! On był prekursorem. Gdy chorowałem w połowie lat dziewięćdziesiątych i leżałem w szpitalu, Gal w „Maci” napisał o tym info do ludzi z FA. Jestem wdzięczny za to wsparcie. Pamiętam wizytę u niego w Sopocie, tuż przed jego wyjazdem

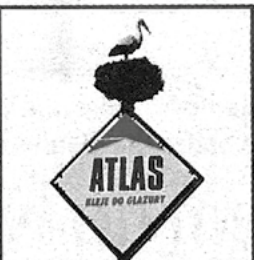
z ekipą z pomocą humanitarną do Czeczenii. Potem śledziłem w mediach informacje o ich porwaniu. Był niepokój, potem – ulga, gdy wrócili. Gdy dowiedziałem się, że zachorował i jest w hospicjum, pojechałem do Sopotu, bo pamiętam co mi powiedział parę lat temu, gdy rozmawialiśmy o Marcinie Kaczyńskim – że ma żal do siebie, że się z nim nie pożegnał...

Przemek Nowak





„Wycieczka” do Krakowa: Krzysztof Galiński, Małgorzata Gorczewska, Wojciech Jacob Jankowski oraz Klaudiusz Wesolek.

Ubecy bili harcerzy

Na początku lat 50. UB w Piotrkowie Trybunalskim zlikwidował trzy tajne organizacje, których członkami byli uczniowie szkół podstawowych i średnich. Akt oskarżenia, który wpłynął na początku roku do piotrkowskiego sądu, zarzuca ubekom stosowanie tortur wobec aresztowanych harcerzy. Jeden z ubeków jeszcze w latach 70. był wice-szefem MSW.

➤ Czytaj reportaż na str. 12-13

CENA 80 GROSZY
13 LUTEGO 1998
NUMER 37 (416) WYDANIE KK
NAKLAD 132 653
Znajdź w internecie: www.zycie.com
ISSN 1427-177X NR INDEKSU 349119

ZYCIE

REDAKTOR PRAWOZĄCY
GRZEGORZ JANKOWSKI

w piątek



Bohaterowie są zmęczeni

Porwani w Czeczenii Marcin Thiel, Krzysztof Galiński, Marek Kurzyniec, Paweł Chojnacki i Dominik Piaskowski wrócili do Polski

Pięciu Polaków porwanych w Czeczenii i przetrzymywanych przez 54 dni w niewoli wróciło wczoraj do Polski. Samolotem z Moskwy przyleciał z nimi wystannik polskiego MSZ Zenon Kuchciak, który walczył przyczynił się do ich uwolnienia.

Zaraz po przylocie Paweł Chojnacki, Krzysztof Galiński, Marek Kurzyniec,

Dominik Piaskowski i Marcin Thiel przyszedli na konferencję prasową, gdzie powitało ich kilkudziesięciu dziennikarzy. Byli bardzo zmęczeni. Przyjaciele zwracali uwagę, że wyglądają na wyczerpanych i wychudzonych. Mimo to byli w dobrych nastrojach.

Prosto z lotniska pojechali na rozmowę z premierem Buzkiem. Po półgodzin-

nym spotkaniu szef rządu i cała „czeczeńska” ekipa wyszli bardzo zadowoleni.

— Wszyscy, którzy mają w kieszeni paszport z orzeczką w koronie, mogą liczyć na wsparcie i pomoc rządu polskiego poza granicami naszego kraju. I tak będzie zawsze — zapewnił premier Buzek. — Naszym marzeniem jest, by Polska, jako pierwsze państwo, uznała nie-

podległość Czeczenii — zrewanżował się premierowi Marek Kurzyniec.

Po wizycie u premiera Marek Kurzyniec i Paweł Chojnacki udzielili obszernego wywiadu *Życiu*. Ujawnili w nim po raz pierwszy, że groziło im powtórne porwanie.

— W pierwszą noc po uwolnieniu sprowadzono nas na dół do bunkra,

gdzie były tylko pryzce i drzwi zamykane od wewnątrz na potężną stalową śrubę — opowiada Chojnacki. — Mielismy otwierać tylko tym, którzy znali hasło. Raniem dowiedzieliśmy się, że były sygnały o próbie odbicia nas.

CEG, JPL

➤ Pierwsza część opowieści uwolnionych — str. 4
Cała rozmowa w jutrzejszym *Życiu*

AŻ wspomina

Najpierw zadzwonili Przemek i Ania z Rzeszowa: „Z Galem źle, jest pomysł by zrobić pożegnalną publikację, pomożesz? skontaktujesz się z Borysem?”. Smuto, że Gal już odchodzi a do redagowania mi tęskno, więc odpowiedź była oczywista. Dzięki Przemku i Aniu za tę wieść, choć smutną. Pomyślałem: Jakże to? Przecież niedawno lajkowałem post Gala. Cóż, rak nie żółw, szybki bywa ☹️

Potem spotkanie dwóch naturalizowanych krakusów w biurze przy Sławkowskiej 12, pod adresem tym samym od maja 1994 roku (dzięki Borys, że się do mnie pofatygowaleś na II piętro po drewnianych schodach, jakże łatwiej się rozmawiało niż przez telefon). Choć zarzekałem się, że nie mam już „Maci” (liczne przeprowadzki), to rzutem na taśmę przypomniało mi się jeszcze jedno miejsce, gdzie warto zajrzeć. Znalazłem więc na okazję spotkania z Borysem piękną kolekcję „Maci” od 1993 do 2005 roku. Okładki już kolorowe. Formaty: „modlitewnikowy”, A5, A4 – eh te edytorskie eksperymenty. Borys przebił moje karty rzucając na stół kopertę z samizdatami – czarno-białe, format A3. Wśród nich „numerek piąty styczeń 1992 r.” a tam na str. 4 mój tekścior – Esperanto. *DO YOU SPEAK ENGLISH? UNWILLINGLY!*

W tym czasie i miejscu dowiaduję się, że tu nie chodzi o pomoc w redagowaniu, ale i o napisanie czegoś. Kudy mi pisać, toż prócz tego „wylewu swobodnego” na temat Esperanto nic nigdy do „Maci” nie pisałem. Chyba. No ale jest jak jest. Sezon polowań na nasze pokolenie w pełni, po tej stronie linii życia coraz mniej ludzi „ze środowiska”. A ci co jeszcze tu są to nie zawsze w kontakcie, nie każdy *pisaty*, za to każdy ma swoje sprawy.

A więc padło na mnie. Kto, jeśli nie ja; kiedy, jeśli nie teraz. To gwoli wyjaśnienia, gdyby ktoś pytał, czemu wypowiada się tu i teraz taki boczny koleś jak ja.

Ale o czym tu pisać, żeby było o Galu a nie o mnie? Zacznę od ciekawostki. Ferie zimowe 1987 roku. Koleżanka (dzięki Ci!) z klasy, wiedząc o moich zainteresowaniach filozofią Wschodu, dała cynk, że jest coś takiego jak Ruch Ekologiczno-Pokojowy „Wolę Być”, że będzie zimowisko w Domu Harcerza w Gdańsku, że będzie na nim nauczyciel zen. Pojechałem. Nauczyciel zen okazał się adeptem zen, ale i tak warto było go poznać (Gienek, gdzie jesteś?). I jeszcze na zajęcia jogi u kogoś w mieszkaniu zaprowadził. Ale czemu o tym tu pisać. Bo na tym legalnym zimowisku pojawił się nielegalny WiP w osobie Radka Gawlika (pozdrowienia). Mała grupka, w tym ja, zabrała się z nim na konspiracyjne spotkanie w Sopocie. Konkretnie Sopot Kamienny Potok.

Sądzę, że to wtedy pierwszy raz spotkałem Gala. Czarne kędziory, broda, lenonki. Nie pamiętam o czym rozmawialiśmy, czy coś planowaliśmy. Raczej takie spotkanie zapoznawczo-uświadamiające. Zapadło mi w pamięć, że gospodarz(e) wyłączyli telefon z gniazdka „na wypadek podsłuchu”. Na zimowisku ktoś (nie zapominę Ci tego Marcinie) zaproponował „może następne spotkanie w Oświęcimiu, bo Auschwitz, bo Zakłady Chemiczne, bo mamy tu takiego fajnego kolegę” (to ostatnie to o mnie). No więc po powrocie do oświęcimskiego internatu (nie, nie byłem internowany, mieszkalem tam dobrowolnie) jako ten rycerz do miecza przypasany *nolens volens* zorganizowałem majówkę „Wolę Być” (nie że wszystko ja sam!). Przybyło parę osób poznanych na zimowisku, parę nowych m.in. z pobliskich Kęt. Równolegle odbywały się zawody z przysposobienia obronnego, więc podziurawionych tarcz strzelniczych było *skolko ugodno*. Malowaliśmy na nich gołąbki pokoju i rozwie-

szaliśmy gdzie się dało. Skutkiem tego wezwanie na MO, dopytywanie o tego Radka co to był „naparty”...

„– Co to znaczy, że był naparty? Uparty?” „– Na party” odparł wkurzony milicjant. Ano faktycznie, na zimowiskach „Wolę Być” było coś takiego jak „party” czyli poczęstunek ze „zdrowej żywności” (chrupki z otrębami, masło czosnkowe czy pietruszkowe), na który zapraszaliśmy okolicznych mieszkańców. Radek się załapał, MO się zainteresowało. Tajne spotkanie w Kamiennym Potoku umknęło uwadze wadzy. Imię i nazwisko przestuchującego zapamiętałem, niedawno szukałem go w necie (można by dodać do znajomych na FB) ale nawet Al nic nie znalazła. „Czy to tak było czy nie było, czy to tylko się śniło”? Ot, tyle zostało z mojego styropianu. Koleżanka miała gorzej, z dnia na dzień zniknęła, ale to dlatego, że zmieniła szkołę.

Końcówka technikum, przeprowadzka na studia do Krakowa, działalność w Grupie „Ekologia i Pokój”, która stała się Krakowską Grupą Federacji Zielonych. Kontakty z WiP-em i z FA. Czasy antykomunistyczne się skończyły, więc na działalność się prawie już nie załapałem, za to tamto zimowisko w Gdańsku na długo ukierunkowało mój los. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki – bo trzeba by z niej najpierw wyjść, by próbować wejść jeszcze raz. Albo to tak jak z Hotelem Kalifornia – można się z niego wymeldować, ale nie da się go opuścić. W pewnym sensie to co robię teraz jest przedłużeniem tamtych dni burzy i naporu. A więc dzięki Galu, choć nie mogę Cię spytać czy to faktycznie u Ciebie byliśmy z Radkiem, zresztą czy byś pamiętał?

Oczywiście potem wiele razy spotykałem Gala bywając na spotkaniach FA. No i jakoś tam współpracowaliśmy – „Mać Pariadka” i „Zielone Brygady”. Target częściowo podobny, ale to w niczym nam nie przeszkadzało. Był też zarządzany przeze mnie serwer MOST.org.pl / ECO.pl na którym zna-

zło się miejsca dla inicjatywy, za którą stał i Galu: „Bracia i Siostry – lista dyskusyjna Braci Wolnego Ducha – trojmiejskich arian” (sic!). Oczywiście byli i „Przyjaciele Porwanych” na przełomie 1997 i 1998 roku.

Wiedziałem, że Galu zajmuje się końmi, więc jakieś dziesięć lat temu, przy okazji którychś wakacji na Pomorzu, planowałem go odwiedzić z rodziną. No ale nie wyszło i już nie wyjdzie. Tak to bywa. Śpieszmy się odwiedzać ludzi...

Za to *Mać Pariadka Cabaret* leciał u mnie na okrągło, póki sprzęt na to pozwolił. A potem odnalazłem to na YouTube i znów słucham (od czasu do czasu).

* * *

Borys sugerował, bym lekko skrócić i odświeżyć mój tekst o Esperanto. Cóż. Przeczytałem ów tekst z 1992 roku, ale zmęczył mnie. Trudno by go odświeżyć. A gdyby skracać to prawie do zera. Ale żeby nie było. Przymierzylem się do zadania. Wrzuciłem do Copilota skan artykułu i poprosiłem o zamianę obrazka na tekst, aby mieć co skracać i przerabiać. Patrzę na efekt i słów swych nie poznaję, choć pamiętliwy jestem. Okazało się, że skan był tak słaby, literki tak nieczytelne a mój prompt niejednoznaczny, więc Copilot zrobił *remake* mojego tekstu. Wyjaśnił mi, że to „tekst natchniony” moim artykułem... Ale ja już tego natchnienia nie mam. Serce dalej po środkowej mam stronie, ale krytycznie (sceptycznie) oceniam wiele rzeczy, które robiłem lub którym kibicowałem. Ale wiecie, jak to jest. Kto za młodu nie był socjalistą... Eh, młodości chmurna i durna.

Wracając do Esperanto. Idea słuszna. Na ile jestem w stanie ocenić – dobrze opracowana, ale... Nie mam tu na myśli, że to jak z obroną socjalizmu „system idealny, ale ludzie go schrzanili”. Esperanto nie zeszło na margines z powodu jakichś błędów w samym języku, lecz dlatego, że nie osiągnęło masy krytycznej. Teraz jest już raczej bez szans – kłamka zapadła. Zanim kłamka zapadnie, nawet liche wicherki może zmienić ustawienie drzwi. Gdy drzwi się zamkną, trzeba by huraganu by je otworzyć (niszcząc przy okazji). Ideę dalej popieram, ale już tylko pasywnie. To co mi zostało



Morska inwazja na Afganistan (w wersji foto-komiksu trafiło do „Maci” potem).



Kombatanci po walce.



Jany: „Ja i Galu u Jacoba w górach; czyśmy bracia?”.

z tamtych czasów to... problemy z angielskim.

Podobnie masy krytycznej zabrakło dla jakże wspieranego przeze mnie LETS, Banków Czasu itd. Nie jestem znawcą oprogramowania, ale chyba to samo nieosiągnięcie masy krytycznej zaważyło o losie OpenOffice i innych open source'owych oprogramowań. Korzystam więc z MS Office – z całym dobrodziejstwem inwentarza.

Borys kusił dalej: „napisz o rozpadzie ruchu ekologicznego”. Ależ do tego to trzeba by zatrudnić profesora Piotra Glińskiego (też pozdrawiam, czemu nie)! A serio: czy ruch na pewno się rozpadł? Oczywiście wiele (większość?) inicjatyw powstałych w latach 1980/90 już nie istnieje. Z mojej perspektywy: ostatnie „Zielone Brygady” ukazały się w 2007 roku – udało się dociągnąć do osiemnastki. Rok mi zajęło ujawnienie na zb.eco.pl informacji o zawieszeniu działalności Wydawnictwa. Mniej więcej od tego czasu zajmuję się certyfikatem Fairtrade i właściwie na więcej czasu nie mam. Swoje odstąpiłem. Ku chwale Matczyzny. Natomiast archiwa „Zielonych Brygad” (publikacje, korespondencję) przekazałem do Archiwum Narodowego w Krakowie w... 2024 roku.

Tyle o „ZB”. A co z ruchem eko? Nie ma już WiP-u, Wołę być, Federacji Zielonych. Nie ma już SIĘ, BORE, WKLE, Kolumny. Polski Klub Ekologiczny? Nie wiem. Za to Federacja Anarchistyczna dalej działa (niedawna akcja przeciw gentryfikacji krakowskiego Kazimierza). Jest Klub Gaja, Pracownia na rzecz Wszystkich Istot, Towarzystwo na rzecz Ziemi, Fundacja Ekorozwoju, ODE Źródła, Polska Zielona Sieć, Stowarzyszenie Ekologiczne EKO-UNIA i pewnie parę innych dinozaurów. Działa WWF, Greenpeace, Fundacja Viva!. Weganizm i wegetarianizm „trafiły pod strzechy”. Powstały Otwarte Klatki, Fundacja „Kupuj Odpowiedzialnie”, ruch antysmogowy i zero waste. Można by wymieniać, ale nie jestem na bieżąco, więc sorka.

A więc jakiś ruch ekologiczny istnieje, ale jest on inny. Tak jak inny jest tekst, który pisałem do „Maci” w 1992 roku i tekst sparafrazowany przez Copilota A.D. 2026...

Andż
(Andrzej Żwawa)



Jednota Braci Polskich w dworku Sierakowskich w Sopocie.



Jedna z głódówek.



Jany: „Budownictwo ekologiczne, wykańczanie konstrukcji i test wytrzymałości”.

Брат Парядка (Brat Pariadka)

Nieustające wakacje

Zacznijmy od łżejszego tonu. Dawno, dawno temu, w czasach, w które trudno uwierzyć, kiedy istniały gdzieś w świecie, lecz nie występowały często-gęsto w Polsce bankomaty i karty do nich (o debetowych czy kredytowych nie marząc) wybraliśmy się z dziatwą-drobiazgiem na nadmorskie wywczasy. Jak zawsze, środki na podobny luksus zostały z dbałością wytrawnych strategów co do grosza wyliczone. Była też już krwawica z kuchni pubu nad Tamizą – funt w garści (za

mało), ale przecież, z grubsza na półmetku pobytu, spodziewamy się PRZELEWU za rzadką krajową fuchę. (Zaczarowane słowo! Dorosły narybek przyzna, że w cieniu rozmów rodziców o czekaniu nań upłynęło dzieciństwo). Nie wiedziałem nawet jeszcze, że jestem „prekariuszem”.

Tak więc – żyjemy! Udaje się z córeczką Iza pekaesem do Trójmiasta, gdzie (przezorni!) wiemy, że mieści się oddział banku, z którego usług korzystamy (mniejsza o nazwę, zmieni ją w ciągu ćwierćwiecza tyle razy!). Ja z synkiem – na wycieczkę rowerową

śladem dawno wymarłych Słowińców, bo zaskórniaków starczy tylko na dwa bilety. Prześpi basatyk wyprawę całą w siodełku za mymi plecami, oparłszy o nie płową główkę. Aha, taka to prehistoryczna epoka, że i komórka w niej nie wystąpi. Tymczasem zmrok zapada, my już po wypadzie, a dziewczyn jak nie było, tak nie ma. Nareszcie! Są! Cóż się okazuje? Filia banku owszem, działa – z tym, że nie realizuje wypłat. Iza, w rozpacz, dzwoni do Ciebie: „Galu ratuj!”. I ratujesz.

Wyciągniesz ileś tam Deutsche Marek skitranych na czarną godzinę



Rynek Główny w Krakowie. Zdjęcie zamieszczone w książce Ur. '68. Notatki z ulic Krakowa 1988–1989, Warszawa 2010, s. 117.

i pouczysz: „Pieniądze trzyma się w skarpecie, nie na koncie złodziejskim”. Zaiste! Oddaliśmy. Natychmiast po przyjsciu następnego PRZELEWU. Wcześniej, nim era funta-wybawiciela nastąpiła, oddałeś naszej – wtedy – czwórce (acz z mniejszym cokolwiek drobiazgiem w pielusze) przytulne mieszkanko w Sopocie Kamiennym Potoku, byśmy jodu zażyli. A Tyś do swych koników – zda się – pocwałował. Wakacje! Pogoda dopisała! Do drugiego Twego domu (żał!) nie dotarliśmy. Takie to wspomnienia nachodzą. Ach, nie zaczęła się ta opowieść od trzęsienia ziemi. Choć napięcie – obiecuję – będzie bodaj rośło.

Pogrzebowa jazda

Odnutowała historia, że smutno skończyła husaria. Nie dlatego wcale, że rozwój muszkietu i artylerii osłabił moc szarży – galopującego narzędzia ciężkiej kawalerii. Nie ledwie wiktorie, ale i największe poruty odniosła, gdy daleko jej było do skonu. Lecz wreszcie, za saskiej smuty, zaczęła jeno aktorzyć podczas *pompa funebris* – cmentarnej, choć przynajmniej barokowej pociechy, zwana złowieszczą „pogrzebową jazdą”. W niepraktycznych a bujnych karacenach, z wypielęgowanymi skrzydłami, nie z ubitych wilków, a w tygrysiej skórze z orientalnych zwierzyńców stawali w kościołach husarze. Podczas spektakli płoszyły się przepyszne rumaki; pełne rozmachu rozgrywały się sceny. **Bardzo chciałbym o tym z Tobą Galu porozmawiać. I o reszcie.**

Gdyż również Kraków w XIX-wiecznym zaborze słynął z żałobnych przedstawień. Był w nich niezrównany: Książę Józef, Kościuszko, Wieszczy Adam, Wyspiański – ach, co to za pochówki były! Piętrowe katafalki, dym tysiąca pochodni, tłumy wszelkich stanów. Mowy! I my dziś pogrzebowej jazdy doświadczamy. To jedyna okazja, gdy chcemy się sprężyć, spotkać, wzruszyć razem. Ogarnięci *pompa funebris* nie w jej zewnętrznej formie, a z duchem wypełnionym bez reszty. Wipowskie skrzydła zwiędły do wewnątrz. Jeśli PRL reklamowano „najweselszym barakiem w obozie”, to z pewnością WiP i Ruch Społeczeństwa Alternatywnego były „najweselszymi pryczami” lat 1976–1991. Cóż się z rodzimym barakiem stało? Co z pryczą?



Jak myślisz Galu? Przeczytam Ci teraz urywek artykułu Józefa Mackiewicza, z roku Twych narodzin, z politycznego (powiedzmy!) *zina* swoich czasów, „Nurtu” na antypodach. To antycypacja powodów, dla których dwie dekady później WiP powstanie: „Jedną z form oszukiwania ludzi dążących do wolności stanowi abstrakcyjne głoszenie pokoju. Propaganda pokoju w czasach obecnych, której nie towarzyszy wezwanie do wyzwolenia milionów ludzi spod jarzma komunistycznego, może tylko siać złudzenia, demoralizować ludzi przez wpajanie im zaufania do humanitarności komunizmu. W szczególności głęboko błędna jest myśl o możliwości tak zwanego demokratycznego pokoju bez obalenia komunizmu”¹. Ciekawe?

Sterta „Maci”

Ciekawe! Z Twoich tytułów bardziej podobał mi się „Pet w Maśle” i pamiętam, że Ci o tym mówiłem. Czy podczas owych kilkudziesięciu dób, gdy się nie rozstawaliśmy? Niezupełnie z własnego wyboru, lecz nic to! Mam przed oczami scenę, którą przywołałeś, a która Cię zainspirowała. Ktoś podczas imprezy autentycznie wbił kiepa do tłustej maselniczki. Równie

frywolna nazwa – Między miastówka Anarchistyczna także bardziej trafiała do gustu niż *sierozna* „Federacja”. Tak, moje podejście do Twoich idei miało wymiar raczej estetyczny. Zresztą i Twoje do moich... Mam w papierach masę „Maci” – od pionierskich numerów o różnorodnych formatach, poprzez (najsłynniejsze chyba) zeszytowe pocket-booki, aż do finalnej, dojrzałej A-czwórki.

W takim właśnie formacie ogłosiłem w 2001 roku jedyny artykuł² i chętnie podawałem potem w notkach biograficznych tytuł „Mać Pariadka” gdzieś pomiędzy „bruLionem”, „Arką” i „Arcanami”, czy nawet, nawet... „Nowym Państwem” – dla zgorzsenienia prawicowych filistrów. Zauważyli? Zauważyli. Zauważyli tę utopię Augustyna Wróblewskiego, anarchisty z początku XX wieku, **co bomb nie rzucał, a jak my niestety – strzelał wyłącznie kulami zadrukowanego papieru**. Bohatera mej starożytnej pracy magisterskiej, którą chciało z kolei wydać „Bractwo Trojka”, ale planowałem ją doprawić i rzecz rozeszła się po kościach, czego niezmiennie żałuję. W literaturze przedmiotu bywa przytaczany artykuł, który puściłeś, nie zaś magisterium.

Noszę w sercu, jak w twierdzy Marka Kurzyńca na Smoleńsk (więc przed 2003 rokiem, gdy reduta nie tyle pad-

¹ J. Mackiewicz, *gdyby LENIN był dziś – antykomunistą*, „Nurt” (Rockdale, Australia) nr 5, 1965, w: J. Mackiewicz, Wrzaski i bomby, wybór artykułów Michała Bąkowskiego, przypisy Nina Karsov, Dzieła: t. 33, Londyn s. 116.

² P. Chojnacki, *Historia szaleństwa w wyniku anarchizmu – Augustyn Wróblewski 1866 – 1913 (?)*, „Mać Pariadka. Wolny Magazyn Autorów” 2001, nr 1.

nie, co zostanie opuszczona) słuchaliśmy na okrągło kasety *Mać Pariadka Cabaret*. Nie zapomnę, że odkryłem wśród dziadkowych prezentów inną: z przedszkolnymi piosnkami na serio, gdzie podobny głos jak w *Cabarecie* ciągnął marszowy song dla maluchów o dobrodziejstwie soldateski w koszarach. Gdy włączyłem magnetofon oświadczając Markowi, że to nowość: *Mać Pariadka Cabaret II* – uwierzyl! No śmiechom nie było końca.

Aha, „Piątek Wieczorem” w 1992 roku śnił mi się jako skrzyżowanie „Maci” i ultrakonserwatywnego „Stańczyka”, lecz poniekąd wymknął się spod kontroli.

Czy Fundacja WiP jest do zbawienia koniecznie potrzebna?

Po orderzy nie sięgasz. Jeden z nielicznych sojuszników wśród wipowców i (okazuje się) towarzyszy z RSA w tej mierze. To dopiero kabaret! Nikt by w to kiedyś nie uwierzył... Wolnościowcy i różnej maści anarchiści (dawni?) zabiegają o Krzyże w klapie i goździki do rąs od państwa – kontynuacji PRL. Wszak aby dostać Polonię Restitutę (do samego finału zagadka to: którą?) trzeba się postarać, wystawić podanie, zgłosić cię Fundacja – odznaczenie nie spada z nieba. A po celebrze: „Czemu ona dostała Oficerski, a on Kawalerski?”. Mamy też kolegę, który po medalowym rozdaniu „za NZS” kilkanaście lat temu nie zadowolony z Krzyżem Zasługi, w drugiej turze w 2022 roku rozbił pulę i wziął na klątę najwyższego Komandora.

O skorumpowaniu środowiska przez zasiłki i przywileje „Działaczy Opozycji Antykomunistycznej” (DOA) nawet nie chce mi się – akurat do Ciebie Galu – pisać. Wiem, że i Ty się – po prostu – wstydzisz, zwlekasz do chwili, gdy zdrowie przypili. Kogóż zresztą życie nie zmusiło, niechaj rzuci kamień. Więc może chociaż to hasło zostało z młodości: „System po to jest, by go wyssać”? A plenerowa wystawa *Ruch „Wolność i Pokój” w Krakowie 1985–1990*, współtworzona przez zawodowych wipowców? Już tytuł zakłaman, gdyż WiP działał tu do 1993 roku, w „wolnej” ponoć Polsce broniąc obdżektorów (odsylałem książeczkę wojskową w sprzecznie wobec zamknięcia Gałuszki), dając tamę tamie w Czorsztynie,

czy mając wręcz lokal legalny (podobnie, jak FA!). O rozbijackim „Czasie Przyszłym” Rokity znalazła się w ogóle na planszach IPN-u wzmianka?

Brodąta imitacja Tołstoja, mimo iż wiecznie w układzie, wysłaniec rozłamowców co na lep „okrągłego stołu” poszli, z ekranu perorował na otwarciu ekspozycji. Jako jedyny z WiP-u. „DOA i Osoby Represjonowane” rozmawiają nie o samych pogrzebach, ale o homeopatycznym wzroście stawek, o doświadczeniach w pozyskaniu jałmużny; miejscach parkingowych, sanatoriach, zniżkach. „Fundacja WiP ma służyć jedynie upamiętnieniu i samopomocy”. Pewnie bez trudu zdobyłbym w Tobie Galu alianta, gdy przed z górą dekadą przekonywałem, że trzeba zająć się rabunkową wycinaną lasów państwowych, lecz wyżej cytowaną od liderów uzyskałem odpowiedź. Cóż, lasów już nie ma.

Kajdanki i kaloryfer albo Krzyż Walecznych

Jednak jak i kiedy mieliśmy to przedyskutować? Zagonieni, na dwóch krańcach biednej, brzydzącej ojczyzny (Tobie łatwiej znieść syf jej, jako internacjonalistę?), jak bronić róż, gdy tną nieprzytomnie bór. Skądinąd, niegdyś się nagadaliśmy. Nie miałem poczucia, że „na zapas”, gdyż dużo się wtedy i milczało. Przykuci przez prawie dwa miesiące do jednego kaloryfera, „jeńcy Kaukazu” na przełomie 1997 i 1998 roku. Tak, dużo się wtedy milczało i zapewne inne myśli chodziły nam po głowach. Różne snuliśmy zamiary. Zawsze podziwiałem, że Ty swój spełniłeś. Tak pięknie opowiadałeś o rzących achal-tekina na stepie! Ja postanowień z niewoli dotąd w życie nie wcieliłem. Bóg mi świadkiem, próbowałem.

Skoro o Nim mowa. Przypomniało mi się, że gdy któregoś wieczoru w kajdanach sentencjonalnie westchnąłem: „Jutrzejszy dzień zadba sam o siebie”, rzuciłeś z humorem: „Bez religijnej propagandy proszę!”. Zareago wałem milczącym uśmiechem, a dziś starszy o prawie trzy lat dziesiątki o Tamtym Świecie i Ładzie rad bym z Tobą mówić, skoro o cud modłę się niezdarnie. Bo wydawało się chwila mi w owe zimowe miesiące, że wnet czekać nas może nieuchronne Spotkanie. Z Kim? Czym? ... A wiesz Galu,

że po kolejnym transporcie (do tego zapuszczonego, kozackiego domku) z miejsca, gdzie przysiadłem na gołych sprężynach łóżka, mogłem jako jedyny z „piątki porwanych Polaków” obserwować przez framugę bez drzwi przedziwne kadry.

Widzę, jak najtrudniejszy (rzekłbym) ze strażników (ten co do głowy Marka tetetkę przyłożył) na pieńku pieczołowicie siekierą tnie kable. *Ogniomistrz Kaleń* od razu puka do głowy. Że z praktyką drutem powiążą ręce, a pień i topór tuż czeka. Lecz „stroiciel” raptem żarówkę w drugim pokoju montuje. Inny kolega z WiP-u, o którym chodzą słuchy, że jako dziesiętnastolatka osadziły go komuchy pod jedną celą z kaesami, szepnął po powrocie: „Moje dwa lata to nic z Waszymi dwoma miesiącami w celi śmierci”. Mówiłem Ci Galu o tym? Że za tę wojenną przewagę przyjmę tylko Krzyż Walecznych? Ale razem z Tobą. Jeśli rzeczywiście „anarchia jest matką porządku”, Tyś jego bratem. I moim zarazem.

Kraków, 6–7 marca 2026 roku
Paweł Chojnacki

PS

W tytule cyrylicą podano zapis słowa *порядок* w formie, w jakiej występował w winiecie magazynu „Мать парядка”. Zapis polski jest fonetyczny.



Szablony autoportret Gala.

Hipoterapia



Krzysztof Galiński jako hipoterapeuta. Na str. 20 – kulig w Sopocie.



Jacob: „Rysunek Gala z «A Cappelli», czasopisma nielegalnego, sprzed «upadku komuny». Jak widać – nie mieliśmy specjalnych złudzeń co do normalności przyszłych solidarnościowych władz”.



Jacob: „W zamierzczłych czasach hipoterapię w Sopocie to normalnie prowadzili hobbici. I mieli czarodziejskie aparaciki do obrazowania i telepatii”.

